Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Miejsce na rojście, gdzie rośnie malina „moroszka" (Wileńszczyzna). Fot. Włodzimierz Korsak.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 26 (681) 25 CZERWCA 1932 R.

OD ADMINISTRACJI.

Pozwalamy sobie przypomnieć, że czas już odnowić prenumeratę na II półrocze, III kwartał lub miesiąc lipiec.



Z wiosennych pejzaży województwa Pomorskiego. Fot. Leon Pęski.

PRASA NIEFACHOWA O KWESTJACH ŁOWIECKICH.

Od pewnego czasu spotykamy coraz częściej w wydawnictwach codziennych i perjodycznych szereg artykułów, poświęconych łowiectwu.

O ile niektóre, szczególnie dzienniki, jak naprzykład „Słowo Wileńskie", „Dziennik Poznański", który, niestety, zaprzestał prowadzenia swego tygodniowego działu myśliwskiego, miesięcznik „Echa Leśne", tak świetnie redagowany przez Leonarda Chociłowskiego, — tygodnik „Świat" — utrzymywały i utrzymują ową rubrykę na należytym poziomie— o tyle inne — pożal się Boże!

Lepiej nie wdawałyby się wcale w podawanie niestworzonych nieraz andronów z łowieckiej dziedziny!..

W każdym bądź razie, faktem znamiennym jest, że szeroka czytająca publiczność polska coraz więcej poczyna się interesować wszelkiemi sprawami, związanemi z przyrodą, z której przeczystych źródeł „integralnie" rodzi się łowiectwo!...

Stanowi to objaw niezmiernie ważki i nader pocieszający!

Zaiste! — kogo interesowałoby to przed kilku laty nawet?

No — możeby jeszcze czytelników takiego tygodnika, jak nieodżałowanej pamięci (Ela Laskowskiego) „Wieś i dwór", gdyż ten przeznaczony był dla sfer ziemiańskich—ale dla mieszczuchów umieszczać feljetony, opisy i fotograficzne zdjęcia myśliwskie?...

Zaprawdę — żadna redakcja pisma politycznego w swych snach gorączkowych o zjawisku podobnem nie mogłaby marzyć!

Wiadomem jest (niezbity aksjomat), że tylko zapotrzebowanie i popyt stwarza podaż, więc widać szerokie sfery Czytelników wymagają podobnej rubryki.

Wielce to pocieszający objaw w naszej neurastenicznej sarabandzie współczesnego bytowania!...

Tak, niezawodnie! — Cieszyć się z tego winniśmy szczególnie my, myśliwi!

Jeśli się głębiej zastanowić nad tym problematem i nad genezą owego popytu, to oczywiście ogromne znużenie nienormalnemi konjunkturami życia, przemęczenie koszmarem wielkiej wojny, przewrotów wszelkich — stanowi podłoże całej tej psychiki zwrotu do natury, do wszystkiego, co z nią w bezpośrednim związku pozostaje, a więc przedewszystkiem i do myślistwa!...

Dzięki Ci, Święty Hubercie, za to!..

Ale — o ile samo przez się owo zjawisko jest radosne, o tyle, jednakże te same redakcje mają moralny obowiązek być zawsze na wysokości zadania!..

Łowiectwo jest czynnikiem za poważnym w dziedzinie ekonomicznej każdego narodu — a także w sferze pedagogiki, że tak powiem, najszlachetniejszych pierwiastków duszy ludzkiej, żeby być po macoszemu traktowanem!..

A niestety — obserwujemy to smutne zjawisko do syta! — na wielu z tych pseudo łowieckich prac i artykułów.

Bezgraniczny dyletantyzm — produkcje grafomanów, kompletnych laików — aż roją się w nich, bijąc w oczy niemal z każdego wiersza tych nibyto „utworów" literatury łowieckiej!

Rzecz dziwna i godna uwagi!..

Przecież żadnemu redaktorowi nie wpadnie do głowy dzika myśl — powierzyć prowadzenie recenzyj teatralnych — zawodowemu dentyście, czy też oddać popularny dział wiadomości inżynieryjnych regensowi seminarjum duchownego!..

Więc dlaczegóż i z jakiej przyczyny autorom, żadnego pojęcia o łowiectwie nie mającym, albo jeszcze gorzej — funkcjonarjuszom redakcyjnym, w nożyce li tylko uzbrojonym, poleca się „wytwarzanie", czy też kompilacje niemożliwych nieraz bzdur, nie mających ani głowy, ani ogona!..

Wyławia się owe klejnoty przeważnie w odmętach rodzimych lub zagranicznych brukowców, zastarzałych kalendarzy i... z delicją przedrukowuje się w poważniejszej, a bardzo często wielce ozdobnej prasie!

A nie należy zapominać, że właśnie te poważniejsze czasopisma wędrują w dalekie nieraz kraje, że z nich to czerpie opinja zachodu wiadomości o naszych warunkach i stosunkach łowieckich!..

Dziś, tembardziej — kiedy to troska o niektóre objekty zamierające, jak niedźwiedzie, żubry, łosie, bobry, rysie — przeniosła się na forum międzynarodowe, — kiedy to powstają zrzeszenia ochrony tych zwierząt!

Cóż pomyśleć będą mogli zainteresowani w tych sprawach, po odczytaniu szeregu nonsensów i fałszywych zgoła wiadomości o zanikających gatunkach — drukowane — o, zgrozo—w polskich pismach, przez polskich autorów pisane!..

Ładnie się skrystalizuje pojęcie o naszem uświadomieniu — śród zazwyczaj wrogich nam cudzoziemców!

Prawda, że obok całej tej „fantastyki" jest jeszcze, dzięki Bogu, u nas prasa fachowo-łowiecka, ale przenigdy nie dotrze tak łatwo numer jednego z naszych „Łowców" na rynki Paryża, Londynu, czy innego Amsterdamu, jak „Światowid" — „7 dni", lub inne narówni barwne i intensywnie rzucające się w oczy.. rodzinne nasze wielkie pisma ilustrowane!

Dlatego też obowiązkiem w obecnej sytuacji jest dla fachowej prasy zwrócić uwagę na sprostowanie pewnych z palca wyssanych często wiadomości, nieścisłych danych łowieckich, bo inaczej „ludzie zagraniczni" mogą słusznie się zastanowić.

„Jakto, dlaczegóż to ich organy myśliwskie nie zwróciły należytej uwagi na wprowadzenie w błąd czytelników-laików?" I jak najlogiczniejsze będzie owo rozumowanie.

* * *

Nie mówiąc już o podobnych „perłach", jak wyłowiona w jednem z pism codziennych „w kalendarzyku łowieckim" nibyto aktualność sezonowa — „o czasie ochronnym — dla gołębiarzy, wron, srok i krogulców?" — ale chociażby Nr. 11 z dn. 12.III r. b. tyle popularnego „Światowida", w którym, w artykule o łosiach na Polesiu napotykamy szereg dziwnych wiadomości!... Od kiedyż to w puszczach Białowieskiej i Szereszowskiej — aż „na setki" liczą się łosie!? O ile mi wiadomo, na skutek ogromnej ilości jeleni, już przed wojną Białowieża miała ich znikomą ilość. Według wyczerpujących wiadomości ze znakomitej pracy p. profesora Józefa Gieysztora („Łowiec Polski" Nr. 8 dn. 20.II.32) widzimy, że w lasach kilku wielkich posiadaczy ziemskich około 300 sztuk ich się znajduje. Ze 150 rozrzucone jest na ogromnych obszarach lasów państwowych. Tam — Towarzystwa Myśliwskie — Poleskie (puszcza Wiadotupicka), Nadniemeńskie (puszcza Bersztowska) — pieczołowicie ochraniają razem z odnośnemi Dyrekcjami lasów państwowych i ich strażą etaty łosiowe, które rok rocznie się podnoszą.

Nie mówiąc już o jedynej, jeśli można tak się wyrazić „hodowli" tego „zamierającego" gatunku, w ordynacji Dawidgródeckiej, w której zostało po wojnie i zawierusze bolszewickiej trzy, literalnie t r z y okazy, obecnie zaś, według ostatnich nadesłanych do redakcji „Łowca Polskiego", szczegółowych wykazów — około 150 sztuk się znajduje!

Oprócz tego, w dobrach Rzepichowo-Chotynicze hr. Jarosława Potockiego jest ich około 155, w Hrudopolu hrabiów Jundziłłów około 30, w Tomaszgrodzie szambelanowstwa Szyczewskich mniej więcej 12. O tem wszystkiem, oczywiście, ani słowa! Z tego wynika, że mamy ich w Polsce ponad czterysta kilkadziesiąt. I to powstało z zaledwo czterdziestu niedobitków 1920 r.!

Osiągnęliśmy $1/3$ stanu przedwojennego, obliczonego w przybliżeniu na 1.500 głów. Nie mamy więc powodów martwić się swą opieszałością, śmiało będziemy mogli stanąć przed komisją międzynarodową oraz projektowaną sekcją ochrony łosia przy Polskim Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

Nie widzę więc żadnej racji pesymizmu Sz. autora co do zaniku u nas tego szlachetnego zabytku przyrody — jak to się już stało (czyż naprawdę?) ze słoniem i nosorożcem afrykańskim oraz mamutem, ichtyozaurem i pterodaktylem (ostatnie nie ulega wątpliwości). Nie grozi też bynajmniej w krótkim czasie zaliczenie go do mieszkańców „zoologów", tembardziej wyłącznie do muzealnych eksponatów!... Stanowczo nie rozumiem w fachowym artykule braku chociażby wzmianki o rzeczywistym stanie rozmieszczenia łosi i staraniach osób prywatnych, stowarzyszeń myśliwskich oraz Dyrekcyj lasów państwowych, pod względem ich ochrony i rozmnożył O ile mi wiadomo, jest jeden tylko gatunek — europejski łosia i drugi — kanadyjski. Indywidualne odmiany uzależniają się od warunków klimatycznych i odżywiania.

Albo się pisze feljeton łowiecki — albo nie!

Natomiast „fotosy" są doskonałe, ale tem gorzej, gdyż tembardziej artykuły podobne zwracają uwagę czytelników.

Czy tylko ów młodocianego wyglądu gajowy (żywa illustracja nowozaciągniętego do pułku rekruta-ofermy) rzeczywiście używał kiedykolwiek praktycz-

nie — ostentacyjnie — w ręku trzymanej trąby brzozowej?

Coś tak wygląda, jakby sympatyczny zresztą chłopiec, raczej tatusiowe bydełko nią strąbiał!

Zresztą — może być, że się mylę!

Ale, w każdym bądź razie, jakże dalekim jest ów osobnik od typowego poleskiego wabiarza szareńskiego, ciemnieńkiego — o nędznej, koziej bródce, włosach, w grzywkę nad czołem obciętych, całym swym wyglądem do pnia olchowego podobnego.

Ileż to my — starzy myśliwi dawnego autoramentu, spotykaliśmy takich Owsijów i Halimonów przeróżnych ongiś przy pracy, śród bajecznych rojstów ziemi Mozyrskiej czy innej Pińszczyzny!...

Czarne horoskopy autora na przyszłość łosi u nas niczem więc nie są usprawiedliwione i... mogą li tylko rzucić ziarno zwątpienia o naszej sprawności zagranicą i w kraju zupełnie niepotrzebnie!...

Pomimo, że cały ten artykuł robi wrażenie „niefachowości" ale, jeszcze jest lepszy od wielu innych, noszących zupełnie już dyletancki charakter.

Krótko mówiąc, od niesłychanych „nieścisłości" aż roją się „prace", które coraz częściej napotykamy w coraz liczniejszych czasopismach, o łowiectwie traktujących.

A wielka szkoda, bo jeśliby redakcje tych pism raczyły zastanowić się nad tem zagadnieniem i łaskawie zwracać się do pisarzy specjalistów, to stanowczo byłoby lepiej i przynajmniej nie wnoszonoby częstokroć pierwiastka humorystycznego do spraw bardzo ciekawych i... poważnych.

W każdym bądź razie jest to już objaw bardzo dodatni — owo zainteresowanie się tem wszystkiem, co dla nas, prawdziwych myśliwych, stanowi alfę i omegę radości naszego życia!

Należy tylko poruszane sprawy traktować poważnie i fachowo.

Jestem przekonany, że nasi najmilsi koledzy po piórze, ale nie zawsze z pod zielonych sztandarów kultu Św. Huberta nie wezmą mi za złe, tych szczerych kilku uwag!

Oddając należyte uznanie dobrym chęciom prasy niefachowej, traktującej o kwestjach myśliwskich, chciałbym z całego serca widzieć je traktowane w należyty sposób i na należytym poziomie.

A doprawdy wobec dość licznej plejady u nas pisarzy tego resortu — nie jest to rzeczą, trudną do osiągnięcia — ku obopólnemu zadowoleniu Sz. Wydawnictw i rzesz spragnionych tego tematu, chętnych czytelników!...

ADAM RZEWUSKI.

OD ADMINISTRACJI.

Pozwalamy sobie przypomnieć PP. Prenumeratorom, że najwyższy już czas odnowić prenumeratę na II półrocze, kwartał III, lub miesiąc lipiec r. b.

Do niniejszego numeru dołączamy blankiety P. K. O. (konto Nr. 8082).

Prosimy o łaskawe wpłacanie należnych kwot w terminie. Zaległości w opłatach są przeszkodą w administrowaniu pismem, a dla zalegających — utrudnieniem w regulacji.

Dla obopólnego zatem ułatwienia — z opłatą prenumeraty zwlekać nie należy!

FRAGMENTY.

(Ciąg dalszy).

Nie skończyło się na zaprzepaszczeniu powierzonej mi sprawy pana Z. Dobrane stadło — udana interwencja męska i logika kobiety — spłodziły nową niespodziankę. „Panie drogi! Prawda, że pan mi nie odmówi swej pomocy? Liczę na pana, jak na Zawiszę. Niech mój mąż robi, co mu się podoba, a my we dwójkę zaczniemy robić wyprawy na koziołki, nie puszczę pana za nic na świecie, chyba że zdobędziemy mego (!) mylkusa, a pan zdąży znudzić się u nas" — przymilnie prosiła pani Z. Nie pomogły żadne wymówki, pan domu, widocznie przez zemstę, gorąco popierał życzenie swej małżonki.

Majątek państwa Z., świetnie zagospodarowany, posiadał znaczny obszar leśny. Sekundując przez trzy dni pani Z. w jej wycieczkach za rogaczami, skonstatowałem świetny stan sarn jak leśnych, tak i polnych. Nie powodziło się jednak malutkiej Djanie. Ani z podjazdu, ani na wychodnego nie mogła pani Z. poradzić sobie ze strzelaniem do nieruchomego celu ze znacznej odległości, a do ruchomego między drzewami, lub śród majowej zieleni krzaków.

Cztery tęgie rogacze szczęśliwie uszły śmierci. Humorek pani w pierwszych dniach radosny i wiosenny, zmienił się nie do poznania. Wreszcie pan Z. zlitował się nad nami, ofiarowując swoje usługi i pomoc. Pragnąc rozchmurzyć markotną małżonkę, podjął się wskazać miejsce pod lasem, na które zawsze przychodzą polne sarny i z galanterją oświadczył, że niejeden rogacz z tego stadka z utęsknieniem oczekuje zaszczytnej śmierci z pięknej rączki.

Na naszych kresach wschodnich polowanie na rogacza z podjazdu jest prawie wykluczone. Rozległość w przeważającej ilości niedostępnych nie tylko dla jazdy, lecz i do przejścia terenów, brak urządzenia lasów, ba nawet warunki bytu sarn i ich przyzwyczajenia odrębne — stoją na przeszkodzie „podjazdom" i pozwalają tylko na wypadkowe spotkania.

Na wiosnę, gdy zaczyna się wegetacja bagiennej trawki t. zw. „czarnogłówki" *), ulubionego pierwszego zielonego pokarmu sarn, te ostatnie trzymają się miejsc, obfitujących w „czarnogłówkę", wałęsają się, żerując przeważnie po zalanych wodą bagnach, i wcale nie czują wstrętu do ciągłych zimnych kąpieli. Przypuszczam, że ze sprawą żołądka łączy się jednocześnie sprawa skóry: przewlekłe pławienie się sarn oczyszcza skórę od nadmiaru insektów i dopomaga procesowi zmiany uwłosienia z zimowego na letnie.

Gdy wspomniany gatunek trawy stwardnieje, co następuje równocześnie z coraz bardziej zwiększającą się ilością komarów i bąków, sarny chronią się przed natarczywością dokuczliwych owadów w największe gąszcze drobnych zarośli, powracając do zagajów i grubego lasu tylko z początkiem jesieni, a na żer wychodzą w porannych i wieczornych godzinach, odwiedzając z większą ochotą odległe pólka (niwki) oziminy na deputatach leśnej straży, lub na chłopskich „zachodach", jednak stałości wychodu na jedno i to samo pólko stwierdzić nie można. A więc nawet polowanie „na wychodnego" nie jest łatwe i pewne. W przeciwieństwie do wschodnich, kresy zachodnie z ich kulturą lasów, pociętych na stosunkowo nieduże czworoboki - oddziały, rozgraniczone wygodnemi duktami, jak najbardziej odpowiadają polowaniu z podjazdu i na wychodnego, które w porównaniu z tegoż rodzaju polowaniem na kresach wschodnich — jest wygodną zabawą z ustalonemi premjami.

W pogodny poranek majowy wszystko było gotowe do wyprawy. Komfortowy brek, zaprzężony w dziarskie konie, strzelec w rękawiczkach i z piórkiem u stosowanego kapelusza i pani domu, zaopatrzona w precyzyjny sztucer z lunetą i w nieodzowną lornetkę, ubrana w elegancki kostjum myśliwski — doskonale pasowali do tego rodzaju imprezy. Dobrani wzrostem i postawą pan Z. i ja, jak nieczynni statyści przy odtwórczyni roli współczesnej Artemidy, uzupełnialiśmy obrazek. Ostrym, wyciągniętym kłusem biegły konie przez las po drodze, której stanu utrzymania pozazdrościłaby większość naszych „przesławnych" najlepszych polskich dróg.

Rozwój wiosenny listowia już się zakończył całkowicie, a las wyglądał schludnie i czyściutko. Zdawało mi się, że każde drzewo, każdy krzaczek, nawet każde źdźbło podszycia nosi na sobie widoczne ślady dotyku ręki ludzkiej, a matka-natura, poza wykonywaniem czynności, zgodnych z wolą i nakazem człowieka, nie ma nic do roboty. Dojechaliśmy do skraju lasu. Zasiane pola jakby biegły ku niemu po pochyłości z zachodu na wschód i szerokiem zielonem pasmem wrzynały się do środka. Pan Z. przez lornetkę zbadał to pasmo i oświadczył, że sarny są, pani ze swej strony stwierdziła ich obecność. Stosownie do wskazówek pana Z. należało obejść lasem i zbliżyć się do sarn z przeciwległej strony pola, wykorzystując w ten sposób najkrótszy do strzału dystans. Szliśmy dość długo, prowadzeni przez pana Z.

Wreszcie zatrzymaliśmy się pod osłoną krzaków. Wiatr był dla nas niepomyślny. Posuwać się dalej było ryzykownem. Jak małe stadko chłopskich owiec, pozostawione w polu przez pastuszka, spokojnie pasie się zbitą gromadką, tak kilkanaście sarn żerowało jedna obok drugiej, nie zbliżając się do lasu. Nieco na uboczu w odległości do stu metrów od nas duży rogacz to się schylał, skubiąc ruń posiewu, to unosił głowę, bacznie się wpatrując w coś widocznie go niepokojącego, a znajdującego się pod lasem w znacznem od nas oddaleniu.

Cała uwaga pana Z. była skupiona na tym rogaczu, który, jak zapewniał, był ozdobą całego stadka. Pani nie odrywała oczu od lornetki i pilnie przyglądała się sarnom. Wreszcie kazała mężowi oddać mnie jego lornetkę i, niewinnie uśmiechając się, oświadczyła, że już sobie upatrzyła sztukę do strzału, a mężowskie ramię posłuży jej za oparcie dla sztucera. Przez szkła lornetki szybko zaznajomiłem się z przyczyną lekkiego zdenerwowania polnego rogacza i ledwie się powstrzymałem od okrzyku: „myłkus". Stał pod lasem, obserwując zdaleka sarnie stadko, zwrócony do nas bokiem.

Oryginalne parostki w kształcie gracek, wygiętych naprzód, nawisały, jak olbrzymie szpony, nad jego pyskiem, tworząc ze sterczącemi uszami kąt rozwarty. Rozmiarami i budową ciała o wiele przewyższał swego polnego krewniaka. Chociaż dystans był bardzo znaczny, a strzał do bliższego rogacza był bez porównania łatwiejszy, cieszyłem się w duszy, że moi mili gospodarze nie zauważyli myłkusa.

Przykląkł pan Z., podstawiając swe bary i chyląc głowę. Pani Z. celowała długo. Śledziłem za wynikiem strzału. W popłochu uciekały w pole sarny, za niemi podążał rogacz. „A jednak chybiłaś" — zauważył pan Z. Milczałem, gdyż już wiedziałem, że tym razem nie chybiła. „Jest" — krótko rzuciła pani, podążając do zabitej sztuki. „Do jakiego strzelałaś?" — zapytał ze zdziwieniem gospodarz. „Do mego myłkusa" — nastąpiła twarda odpowiedź żony. „Niemożliwe" — wykrztusił pan Z.; „ale prawdziwe" — dorzuciłem i ja.

Doszliśmy. Trafiony kulą za ucho, leżał, obalony słabiutką dłonią kobiecą, władca sarniego haremu. Jeden z parostków worał się w ziemię, podtrzymując wykręconą w karku głowę; koniuszek przygryzionego ozorka posiniał, z chrapków kropla po kropli sączyła się farba; nieruchome, zastygłe, jakby zasnute łzą, oko szkliło się, odbijając promień słońca; wpatrzone w lazury nieba, martwem spojrzeniem, zda się, słało tam, wraz z ostatniem tchnieniem — ostatnie pożegnanie i bolesną skargę...

* * *

Małą nóżkę, obciśniętą sznurowanym bucikiem, oparła pani Z. na karku swej zdobyczy. Spojrzałem na twarzyczkę tej, która zabiła, i uczułem w sercu skurcz jakiegoś bólu, czy grozy. Anielski, dziecinny wyraz twarzy młodziutkiej kobiety zmienił się nie do poznania. „Tak musiała wyglądać sroga twarz wachmistrza Luśni w czasie wbijania na pal i kaźni Azyi" — pomyślałem, patrząc z odrazą i nienawiścią na sztucer i połyskujące szkło lunety.

* * *

*) zwanej także „smykawicą". *Przyp. red.*

Przeklęta broń, z której nawet dziecko może z łatwością nasycić swe niszczycielskie instynkty!

* * *

Gdy na bezkresnych, otwartych obszarach stepów Europy, na pustynnych bezbrzeżach Afryki i Azji, gdzie wszelka możliwość zbliżenia się do zwierzyny jest wyłączona, dalekonośna broń, zaopatrzona w lunetę, jest jedyną bronią, z której można ze znacznej odległości zdobyć upragnione trofeum w postaci nadzwyczaj czujnego i ostrożnego zwierza lub ptaka, gdy na terenach gorskich użycie takiej precyzyjnej broni niezmiernie ułatwia myśliwemu-hodowcy odstrzał przeznaczonych do tego okazów, — w naszych zwykłych warunkach polowanie ze sztucerem i lunetą niczem się nie różni (w mojem przekonaniu) od ulatwionego postępem rusznikarstwa uprawiania mordu, nic wspólnego nie mającego nie tylko ze szczytnem zamiłowaniem do łowów, lecz nawet z rozwojem sportu strzeleckiego.

Uczucie przygnębienia, beznadziejności i niewysłowionego żalu ogarnia miłośników łowiectwa, kiedy spotykają na szpaltach obcokrajowych pism sprawozdania z wyczynów myśliwskich naszych rekordzistów, lub gdy zmuszeni są oglądać w ilustracjach tych pism podobizny ogólnie szanowanych kolegów-myśliwych, które, łącznie ze sprawozdaniem, stwarzają niepochlebne pozory zaniku etyki i kultury łowieckiej oraz pozwalają na zachwianie już wyrobionej, dobrej opinji. Nie poradzi krzywdzie i nie przytnie złośliwych języków w kraju szumnie przyznany zagranicą epitet „grand chasseur de Pologne", jeśli posiadający wszystko ku temu, aby rzeczywiście być chlubą polskich myśliwych i służyć młodemu pokoleniu przykładem cnót łowieckich — będzie zezwalał na reprodukcję zdjęć swych grzechów, lub może uniesień, jak naprzykład: horendalnego rozkładu głuszców wraz z własnym konterfektem i odbitką sztucera z lunetą.

Chciałoby się wierzyć, że zdjęcie takie zostało źle zrozumiane przez naszych aliantów i miało za zadanie wskazać całemu światu myśliwskiemu na to, jak polować nie należy, gdyż nie można sobie wyobrazić ani przyjemności, ani wielkości kunsztu strzelania kulą przez lunetę do grającego głuszca, pod jego pieśń, o świcie, w nikłej grze światła i na nieznaczny dystans. Jeżeli jednak wskazany wyżej wypadek został wywołany zamiłowaniem do ustalania rekordów, to chociaż rekordy cechują postęp, należy liczyć się z tem, że usiłowanie zdobycia rekordów myśliwskich jest grą, wartą świec tylko dla rekordzistów, a nie dla podniesienia na wyżyny stanu łowiectwa. Więc niechże każdy amator rekordów, olśniony zdobyciem chwilowego triumfu nie zapomina, że gra ta, stając się nałogiem, może bardzo prędko przyćmić ogólne uznanie, zdobyte chlubnie prawdziwem umiłowaniem łowiectwa, a spalane przy grze świece kopcą i kapią nieznośnie.

Niechże ta szczera, serdeczna i bez chęci urazy przestroga będzie przyjęta odpowiednio.

(D. n.). STANISŁAW SKRZYŃSKI.



Ujarzmiony borsuk. Fot. inż. Romicki.

W PUSZCZY ZASŁUCZAŃSKIEJ.

Zazwyczaj, gdy myślą bujam na falach przyszłości, chwile miłe sercu i szczęśliwe dźwięczą nutą rzewnego smutku. — Przypuszczam, iż dzieje się tak dlatego, że zwierzę ludzkie obawia się, iż nie będzie mu danem skonsumować znowu tak smacznego kęsa, ofiarowanego przez dość zwykle skąpą Temidę.

Tak właśnie i dziś, delektując się wspomnieniem niedawnych przeżyć z sezonu tegorocznych toków głuszcowych w dobrach Berezno, czuje serce myśliwskie, że tak pełne szczęście nie łatwe jest do zdublowania...

Cztery dni kwietniowe przepięknej pogody; cudne widoki rozlanej, rozhukanej wiosenną potęgą — Słuczy; puszcza Zasłuczańska, rozśpiewana gwarem budzącej się wiosny; przemiła kompanja — ukoronowana najgościnniejszym gospodarzem, a zarazem najwytrawniejszym myśliwym, organizatorem i hodowcą!

Czy może być pełniejszy harmonją akord myśliwski? Koło 90-ciu grających głuszców na czterech obszernych tokowiskach mieliśmy do dyspozycji dla zaspokojenia naszej żądzy łowieckiej. Delektowaliśmy się rozsądnie, jak starem winem, nie wpadając w szał modnych i nie licujących z uczuciem i etyką prawdziwego myśliwego — rekordów. Otrzymaliśmy maksymum zadowolenia, mając na rozkładzie 13-cie głuszców, 6 cietrzewi i 3 słonki, jako zdobycz trzydniową czterech myśliwych i jednej „Diany".

Wszystkie głuszce ważyły przeciętnie koło 4 kg.

45 dkg. każdy, parę „starców" dosięgało wagi 4 kg. 65 dkg.

Jednego z nich miałem szczęście upolować — znany był w nadleśnictwie od 12-tu lat, miał swój oddzielny tok z haremem 4 — 5 głuszyc, które zazdrośnie strzegł od intruzów. Zwiódł podobno niejednego myśliwego swoją ostrożnością, przerywając w środku pieśń; czasem, wyczuwając jakoś niebezpieczny ranek, nie śpiewał wcale, tylko klapał (widocznie jako starzec cierpiał na bezsenność i słyszał szmery podejścia myśliwych przed czasem toku). Przypuszczam że zawdzięczam udaną wyprawę bardzo wczesnemu podejściu pod miejsce tokowiska. Zresztą podskoczyłem pod niego bez większych trudności, jeżeli nie liczyć jednej przerwy, którą dał już w rozpędzonem klapaniu tuż przed przejściem we właściwą pieśń.

Niezwykle trudna i rzadka jest możność skonstatowania lat zabitego głuszca, tu mamy właśnie ten wyjątkowy wypadek.

Straż leśna od 1921 r. miała tego głuszca w swej ewidencji i obserwacji. Okaz ten ważył 4 kgr. 65 dkgr.

Z zewnętrznego wyglądu normalny, poza wachlarzem, którego środkowe pióra mają 37 cm. długości (normalne, u dorosłego ptaka od 32 do 35 cm.) ilość piór — 19-cie (normalnie 18-cie), ubarwienie ciemne, białych centek — niewiele. Jak z tego widać, ilość białych centek w wachlarzu nie zależy od wieku, jak to mniemają zazwyczaj myśliwi. Bardziej białe ubarwienie ogona i podbrzusza, mojem zdaniem, zależy tylko od przypadku, jako pewna cecha rodzinna — częściej obserwowałem ją u głuszczów wychowanych na terenie moczarowym. (Egzemplarz, o którym mowa, był właśnie zabity w terenie suchym, pagórkowatym). W obrębie toków głuszcowych dały się zaobserwować dwa mieszańce, czyli tak zwane skrzekoty *(Tetrao urogallus hybridus)*.

Gospodarz, hr. Władysław Brzozowski i ja staraliśmy się podejść każdy swego, lecz chrapliwie skrzeczące odgłosy pieśni tego ptaka są za bardzo urywane, aby mogły ułatwić podejście. Dojście do strzału jest rzeczą szczęśliwego przypadku. Obrane zaś miejsce toku skrzekota jest tak, jak i głuszcza, dość stałe. Zasadzić go można wieczorem, jak i głuszcza, tak, że gdybyśmy rozporządzali dowolnie czasem, możnaby liczyć prawie na pewne powodzenie upolowania tego dość rzadkiego wybryku natury.



Zasłuczańskie trofea. Fot. płk. C. Bystram.

Jak sen błogi minęło tych parę dni, pozostawiając tylko niezatarte na długi czas wspomnienia.

Powrót do sztucznego i zatrutego tak zwaną kulturą mrowiska ludzkiego jest przykry, jednak wraca się z takiej wycieczki zawsze odświeżonym i wzmocnionym duchowo i fizycznie.

CYPRJAN BYSTRAM.

OSWOJONY LIS.

Dostałem maleńkiego liska. Śliczne to było stworzonko, ale jeszcze niedołężne, trzeba je było przez pewien czas karmić mlekiem, zanim nauczyło się jeść. Taki maleńki lisek, zabrany wprost z gniazda od matki, nie znał jeszcze świata, nie zaznał jeszcze prawdziwej lisiej wolności, rósł wśród ludzi, więc oswoił się wkrótce i był wprost przemiły.

Skończyły się wakacje, trzeba było wracać do szkoły, do miasta. Naturalnie, liska zabrałem ze sobą. Rósł ślicznie, na pociechę moją i moich gospodarzy, u których mieszkałem „na stancji", przywiązał się do mnie i doskonale czuł się w niewoli, wychodząc z pokoju tylko od czasu do czasu na podwórze, gdzie prócz wróbli, uciekających przed nim w popłochu, innych zwierząt nie widywał.

Gdy rok szkolny minął i przyszły znowu wakacje, wyjechałem do rodziców, na wieś, biorąc ze sobą liska. Na wsi, we dworze podobało mu się widocznie bardzo Wesoły, szczęśliwy uganiał po całym domu, wychodził też z nami na spacery, z początku bliskie, na podwórze, do ogrodu, a czasem też i w pola. Nigdy nie okazywał najmniejszej ochoty do ucieczki, zachowywał się, jak mądry pies, przywiązany do człowieka.

W parę dni po przyjeździe na wieś postanowiłem spróbować, jak będzie się lisek zachowywał wobec kur, kaczek, czy gęsi. Poszedłem więc z nim do kuchni, gdzie właśnie zastałem kwokę z małemi, jeszcze żółtym puchem pokrytemi kaczętami. Kwoka rzuciła się na lisa z furją i wrzaskiem w obronie swego przybranego potomstwa, a lisiura, nie przyzwyczajony do takiego traktowania przez jakieś nieznane mu jeszcze stworzenie, schował się pośpiesznie w kąt izby, pod ławę. Gdy kura uspokoiła się i zabrała do edukowania swych pupilów-kacząt, wylazł lisek z pod ławy, obchodził izbę ostrożnie wzdłuż ścian, w przyzwoitej odległości od niebezpiecznej kury, udawał, że na nią wcale nie patrzy, kręcił się z kąta w kąt, wskoczył na ławę, to znowu na stół, stanął w oknie, patrząc na piękny świat boży, słowem, okazywał wyraźnie zupełną obojętność na przysmaki, jakie się w jego pobliżu kręciły w postaci tłustych kacząt. Dziwiło mnie trochę to dobre serce lisa, że nawet kurze i kaczętom nie chciał zrobić krzywdy. Przypuszczałem, że to do-

bre wychowanie, jakie otrzymał w ciągu roku ode mnie, i kultura, jaką nasiąknął między ludźmi, wywarły na nim wpływ tak dodatni. Ale, o zgrozo! Widocznie w złą chwilę to pomyślałem, gdyż w tym samym momencie szelma lis jednym susem wpadł między kaczęta, jednym chwytem miał troje w zębach i byłby zapewne wszystkie wraz z kwoką podusił, gdyby nie przytomność chłopaka stajennego, który przypadkiem znalazł się w kuchni, i, chwyciwszy rozbójnika za ogon, wyrzucił go przez otwarte okno na podwórze. I tak doszedłem do przekonania, że lis, choćby się całe życie chował w salonach i udawał świętoszka, zawsze zostanie kurobójcą. Zew krwi!

Niedługo cieszyłem się moim sympatycznym liskiem. W jakieś parę tygodni potem przyjechał do nas jeden z sąsiadów ze swoim psem. Wyszedłem na powitanie gościa, a i lisek ze mną. Obcy pies, zobaczywszy lisa, rzucił się na niego odrazu; lis w nogi, w pole, — pies za nim. Za chwilę pies wrócił sam, ale z jego zawstydzonej miny można było wyczytać, że lisa nie złapał, że więc ten ostatni wyszedł z opresji cało. Minął jednak dzień, drugi i trzeci, a lisek nie wracał. Przekonany byłem, że, zaznawszy przypadkiem prawdziwej wolności, pozostał w polu, przekładając spanie na gołej ziemi, gdzieś zaszyty w zbożu, czy w krzakach, ponad siennik w ciepłym pokoju, a świeżą krew i mięso złapanego przez siebie zajączka, czy kuropatwy, ponad gotowane specjały, podawane mu na porcelanowym talerzu.

Źle go jednak osądziłem, gdyż po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że lisek, wypędzony przez psa, zabłądził widocznie gdzieś w polach, przeszedł do sąsiedniej wsi, a spotkawszy chłopa, koszącego łąkę, zbliżył się śmiało i siadł przed nim, chcąc go zapewne „zapytać" o drogę do dworu.

Chłop zgłupiał, przeraził się. Lis?.. chyba nie, bo przecież lis nie przyszedłby sam do człowieka. Bałby się. To musi być djabeł, a może nawet sam antychryst? Chłopisko przeżegnał się kilka razy, a lisek patrzył mu bez obawy w oczy. Przeżegnał więc i lisa raz i drugi, a ten nic, — siedzi dalej spokojnie... „A ty hyclu! To ty się krzyża świętego nie boisz? Toś ty taki djabeł?! Ty oczajduszo, złodzieju, już więcej kur kraść nie będziesz!" Pociągnął kosą z całej siły i tak biedny, kochany lisek przypłacił życiem swoje domowe wychowanie i zaufanie do człowieka.

Płk. WITOLD NIESIOŁOWSKI.

RYSIE W AMERYCE PÓŁNOCNEJ.

W jednym z ostatnich numerów znanego pisma „American Rifleman" znajdujemy nadzwyczaj ciekawy artykuł na temat polowania na rysie, zwierza u nas tak rzadkiego, a tak rozpowszechnionego w lasach północnych Stanów U. S. A., że rząd musiał wyznaczyć nagrodę 10 dolarów za skórkę, wobec olbrzymich szkód, jakie w zwietrzostanie drapieżnik ten wyrządza.

Autorką artykułu jest p. Anna Lynch, żona znanego przewodnika i zawodowego myśliwego w Stanie Maine. Pozwolimy sobie zacytować w streszczeniu jej słowa, zawierające wiele szczegółów, ciekawych pod względem myśliwskim:

— „Nie miałam dawniej zbytniego zamiłowania do polowania, wolałam bardziej rybołóstwo. Jednakże po przeniesieniu się ze Stanów południowych do lasów Maine, i po stwierdzeniu, jakie szkody wśród jeleni czynią rysie, nabrałam zamiłowania do tępienia tych groźnych drapieżników, których liczba wzrasta nieustannie, pomimo wysokiej nagrody, wyznaczonej przez rząd za każdą zabitą sztukę, i wkrótce doszłam do rekordowych ilości co do sztuk ubitych, zwiększając przy tem znacznie dochody domowe i zyskując zajęcie zdrowe i „odmładzające".

Ryś jest jednym z bardzo niewielu prapieżników, zabijających dla samej przyjemności mordu, bez potrzeby, nawet wtedy, gdy jest głodnym. Widziałam bardzo często jelenie, zarżnięte przez rysia i pozostawione nietknięte — zbój może wypił trochę krwi ze swej ofiary, ale napewno głodnym nie był, gdyż mięsa nie ruszył. Ponieważ pozatem ryś prawie nigdy nie wraca do zwierzyny upolowanej, a potrzebuje nowej, widać z tego, jak wielkie szkody może on czynić w zwierzostanie.

Jedynym, rzeczywiście skutecznym sposobem polowania na te dzikie koty jest tropienie po świeżym śniegu, a następnie puszczanie psów. Psy bardzo szybko dopędzają rysia i zmuszają go do wdrapania się na drzewo, poczem głosem ściągają myśliwego na miejsce, umożliwiając w ten sposób pewny strzał. Spotkanie pojedynczego psa z rysiem w krzakach lub w takim terenie, gdzie ryś na drzewo wleźć nie może, kończy się zwykle tragicznie dla psa — o ile ten ostatni nie jest dostatecznie ostry i bitny, gdyż ryś jest od swego przeciwnika daleko lepiej uzbrojonym. Konieczne są przynajmniej dwa psy, dobrze wyszkolone, i w tym wypadku wytwarza się sytuacja przykra, gdyż myśliwy — po nadbiegnięciu na miejsce walki, nie może w niczem psom pomóc — mając przed sobą wir zczepionych i skłębionych zwierząt, i może być świadkiem ciężkiego pokaleczenia psów. Posiadanie przy sobie środków opatrunkowych i narzędzi do zszywania ran jest koniecznością przy takiem polowaniu.

Rysie dają się bardzo rzadko złowić w żelaza, właśnie dlatego, że nie powracają prawie nigdy do zdobyczy raz porzuconej i żadnej padliny — chociażby najświeższej, nie ruszają. Zdarzyło mi się jednak nieraz rysie złowić — najczęściej młode i mam zwykle parę sztuk przy domu w klatkach, dla odprzedania ogrodom zoologicznym lub osobom prywatnym. Wypadków względnego oswojenia rysi nie znam.

Nigdy nie zdobyłam najmniejszego dowodu dla podania, jakoby rysie miały czatować na zwierzynę na drzewach i spadać na nią niespodzianie z gałęzi. Wszystkie rysie morderstwa, w których mogłam przeprowadzić śledztwo dzięki świeżym tropom, dowodziły polowania po ziemi, z dłuższem lub krótszem pod-

chodzeniem i ściganiem ofiary. Nie wierzę w podanie o spadaniu z drzew na zwierzynę, natomiast faktem jest, że ryś, postrzelony na drzewie, może zeskoczyć na psy lub na myśliwego i tego rodzaju wypadek nie należy do przyjemnych.

Stwierdziłam za to wielokrotnie, że rysie polują parami i to w ten sposób, że posuwają się równolegle do zwierzyny z obu jej boków. Jak tylko jeleń zwietrzy jedną sztukę, natychmiast skręca w kierunku drugiej, — tej, która jest „z wiatrem" i zostaje upolowany.

Rysie mało obawiają się osiedli ludzkich i czasem wykonują nadzwyczaj śmiałe rabunki. Miałam raz następujące zdarzenie:

Koło domku, w którym mieszkam, powieszono na żerdzi świeżo ubitego jelenia, którego częściowo poćwiartowano dla kuchni. Któregoś ranka przekonałam się, że coś mego jelenia nadjada. Przypuszczałam, że to niedźwiedź, tropów znaleźć nie mogłam wobec czarnej stopy i umieściłam żelaza dużych rozmiarów, starannie ukryte pod samą żerdzią.

Byłam sama w domu, mąż mój znajdował się w głębi lasów, towarzystwa dotrzymywał mi pies — weteran polowań na rysie. Spałam przy otwartem oknie, pod którem pies miał matę. W nocy obudził mnie niesłychany rwetes — wycie, warczenie, miauczenie, fukanie i różne inne dźwięki pod samym domem. Zerwałam się w przerażeniu, zobaczyłam, że psa niema, i zapominając o chwyceniu jakiejkolwiek broni, której w domu nie brakowało, wybiegłam z latarką, aby zobaczyć co się dzieje. W żelazo złapał się ogromny ryś, a pies — wyczuwszy obecność swego odwiecznego wroga, wyskoczył przez okno, aby z nim załatwić swoje porachunki. Zastałam obydwa zwierzęta gryzące się i duszące w zażartej walce.

Wiedziałam jednak, że to się musi źle skończyć dla psa, mimo to, iż ryś miał jedną łapę tylną w żelazie, i spodziewałam się, że w każdej chwili ujrzę wiernego weterana z wyprutemi kiszkami. To też niewiele myśląc chwyciłam go za ogon i zaczęłam ciągnąć z całych sił w tył, aby przerwać walkę. Nie poszło to łatwo, wreszcie jednak pies puścił, skutkiem czego wywróciłam się z nim razem nawznak, jednak ryś wobec długości łańcucha, do którego były przyczepione żelaza, zdołał trzepnąć mnie pazurami po nodze, i leżałam wskutek tego parę tygodni w łóżku, po przebyciu przykrej operacji zaszywania bardzo długich i głębokich ran.

Na odgłos walki przybiegli wreszcie sąsiedzi, którzy rysia zastrzelili z rewolwerów.

Rysie czasami polują na króliki, ale tylko w braku grubszej zwierzyny, zasadniczą ich strawą jest jednak jeleń. Nie słyszałam zaś nigdy o wypadku napadnięcia człowieka przez rysia, sama dziesiątki razy przechodziłam po lesie w nocy, o każdej porze roku i nigdy—bez pomocy tropienia i psów—rysia wogóle nie spotkałam. Twierdzę, że jest to zwierz nadzwyczaj płochliwy i unikający walki, walczy natomiast nadzwyczaj zażarcie, jeśli zostanie osaczony, i staje się wtedy bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem tak samo dla psów, jak i dla człowieka.

Rysie strzelam prawie zawsze ze strzelby śrutowej, grubym śrutem. Jest to sposób najpewniejszy, gdyż zabija na miejscu, wówczas gdy strzał kulą częściej strąca z drzewa sztukę ranną, która następnie kaleczy psy.

JERZY PODOSKI.



KORNITOL.

Obok niewątpliwych korzyści, jakie osiągać można z racjonalnie prowadzonej gospodarki łowieckiej, liczyć się trzeba również i z pewnemi stratami, wyrządzanemi przez zwierzynę w polach i w lesie. Straty te sięgają nieraz sum bardzo poważnych w łowiskach, obfitujących w dziki, jelenie, sarny i daniele. Tak np. straty, wyrządzane przez jelenie w jednem tylko łowisku baronów Groedlów w Karpatach, sięgają sumy kilkudziesięciu tysięcy złotych rocznie. Z powodu przygryzania przez jelenie wierzchołków drzew w zagajnikach, zarząd lasów zmuszony jest nieraz do kilkakrotnego sadzenia, do czasu, gdy drzewo na tyle podrośnie, że jeleń nie ma możności sięgnąć do wierzchołka.

Nie mniejsze są też straty, wyrządzane korowaniem, t. j. obdzieraniem drzew z kory, która stanowi przysmak dla jeleni ze względu na znaczną ilość zawartości garbnika. Straty, wyrządzane przez sarny i daniele przez przycinanie młodych pędów, są o tyle tylko mniejsze, że okres czasu owych strat, wyrzą-

dzanych w zagajnikach, jest krótszy, gdyż zarówno sarna, jak i daniel, ze względu na swój wzrost, nie mogą sięgać tak wysoko, jak jeleń. Że jednak sarn mamy bez porównania więcej od jeleni, gdyż niema prawie większego łowiska, gdzieby ich nie było, przeto w sumie straty, wyrządzane przez sarny, są większe od strat, wyrządzanych przez jelenie.

Niektórzy z hodowców są zdania, że forsowne zadawanie soli w postaci lizawek znacznie redukuje straty, wyrządzane przez obgryzanie i korowanie. Nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyż każdy prawie pokarm roślinny, w szczególności w stanie świeżym, zawiera pewną ilość soli mineralnych, natomiast żadna lizawka nie daje zwierzęciu tego, czego jego organizm potrzebuje, t. j. garbnika, i dlatego przy najintensywniejszem nawet zadawaniu soli nie uniknie się strat, wyrządzanych przez przycinanie pędów i korowanie. Nie jestem bynajmniej przeciwnikiem lizawek, twierdzę tylko, że, jak we wszystkiem, tak i tutaj, należy zachować pewien umiar, tembardziej, gdy chodzi o środki, mające raczej właściwości lecznicze, a nie odżywcze.

Obok wspomnianych strat, wyrządzanych przez zwierzynę w lesie, nie mniejsze są straty, wyrządzane w polach, które dają się nieraz odczuć bardzo dotkliwie, gdy trzeba za nie płacić znaczne odszkodowania. Wyjściem z tego jest urządzanie specjalnych pólek-paśników dla zwierzyny, zarówno w lesie, jak i na przylegających polach, dostęp natomiast na obce pola, a nawet i własne, na których zwierzyna, wychodząca na żer z lasu, wyrządza straty nietylko pasieniem się, ale i tratowaniem, lub ryciem, powinien być wszelkiemi środkami utrudniony.

Poza stratami materjalnemi, jakie stąd wynikają, hodowcy, którzy zabiegają o ochronę swego zwierzostanu, stają bezsilni wobec faktu wystrzeliwania przez sąsiadów każdej sztuki, która się na ich polu pokaże.

Wszelkie dotychczas stosowane środki zapobiegawcze albo zawodziły, albo były tak kosztowne, jak np. ogrodzenia, że się nie kalkulowały.

Nowością w tym względzie jest kornitol — nowością względną, gdyż rzeczy podobne już istniały, jednak dawały słabe rezultaty. Po długich doświadczeniach, udało się jednej z firm niemieckich sporządzić preparat chemiczny, który, o ile wierzyć posiadanym przez firmę zaświadczeniom najpoważniejszych łowisk w Niemczech, byłby tym środkiem, dla rozwoju łowiectwa mającym ogromne znaczenie. Stosowanie tego preparatu chemicznego, zwanego kornitolem, polega na zapowietrzaniu niebezpiecznych granic, których pragnęlibyśmy, by zwierzyna nie przekraczała z tych, czy innych względów, mając oczywiście zawsze na uwadze, by zwierzyny nie pozbawić całkowicie w ograniczonym w ten sposób terenie pożywienia.

Preparat ten wyrabiany jest w paru gatunkach, t. j. w stanie płynnym i sproszkowanym, a ponadto inny, specjalnie tylko dla dzików i inny dla wszelkiej pozostałej zwierzyny, jak jelenie, sarny, daniele, a nawet zające i dzikie króliki.

Stosowanie jest niesłychanie proste. W rodzaj torebek z kory brzozowej, lub specjalne maleńkie naczynia blaszane kładzie się pakuły, lub odpadki bawełniane, jakich używa się do czyszczenia maszyn. Pakuły, lub bawełnę nasyca się dobrze kornitolem i zawiesza wzdłuż granicy lasu, czy pól na drzewach, na wysokości 1 metra od ziemi, lub umieszcza się wprost na ziemi w odstępach kilkudziesięciu kroków. Odór, wydzielany przez kornitol, jest tak silny, a obok tego trwały, że zwierzyna, gdy go tylko zwietrzy, zawraca natychmiast.

Gdy chodzi o przeszkodzenie w dostępie do kultur, lub na specjalne pola, gdzie obok grubszej zwierzyny, szkodę wyrządzać mogą zające i króliki, wówczas pole, lub kultury okala się cienkim sznurkiem, zmaczanym w kornitolu, umieszczonym na niskich kołkach, wbitych w ziemię. Sznurek bierze się oczywiście najtańszy, jaki jest, t. j. manilla, jaki się np. stosuje do żniwiarek-wiązarek. Ponieważ sznurek szybciej wysycha, więc w tym specjalnie wypadku trzeba co pewien czas ponawiać smarowanie kornitolem. Sposób ten jednak jest tylko konieczny, gdy chodzi o zające i króliki.

Zamiast płynnego kornitolu, stosować można takiż w proszku — sposób ten jednak, mam wrażenie, będzie kosztowniejszy i mniej skuteczny ze względu na szybsze wietrzenie.

Kornitol można nabyć w Warszawie, w firmie W. Balcer, Kredytowa 16, który jest przedstawicielem fabryki Br. Korn w Dreznie. Cena za 10 kg. blaszankę wynosi loco skład Warszawa 40 zł. i ta ilość wystarcza na zapowietrzenie kilkokilometrowej granicy łowiska.

Byłoby niezmiernie wskazanem, aby właściciele naszych łowisk zechcieli podjąć próby na szerszą skalę. W chwili obecnej podjął je, jak zawsze, pierwszy, gdy chodzi o łowiectwo, znany hodowca zwierzyny, p. Paweł Lazar, nadleśniczy dóbr Krośniewickich.

STANISŁAW KAMOCKI.



Ekspres poleski Fot. J. Matuszak.

Z MIĘDZYNARODOWEJ RADY ŁOWIECTWA.

W dniach 21 i 22 maja r. b. odbyło się w Berlinie posiedzenie specjalnej Komisji, zorganizowanej przez Międzynarodową Radę Łowiectwa do spraw ochrony łosia.

Obradom przewodniczył prezes M. R. Ł., p. Ducrocq, udział zaś w obradach przyjęli przedstawiciele Niemiec w osobach ks. Meklenburga, ks. von Ratibora, p. von Kobylińskiego — przewodniczącego wschodnio-pruskiego oddziału Wszechniemieckiego Związku Łowieckiego, dr. Haika — dyrektora berlińskiego Muzeum Zoologicznego, i prof. Schönichena, Norwegji — p. Fr. Rosenberg — znany myśliwy, Litwy — prof. T. Iwanauskas — zoolog i hodowca, Polski — hr. M. Potocki i prof. J. Gieysztor, oraz urzędowi reprezentanci poselstw szwedzkiego i polskiego.

Nieobecność zaproszonych do udziału w Komisji przedstawicieli Łotwy, Estonji i Finlandji usprawiedliwiły urzędowe pisma władz tych krajów, zawierające równocześnie krótkie komunikaty o stanie ilościowym łosi i o obowiązujących przepisach o ochronie łosi.

Ponieważ zarówno te komunikaty, jak i przygotowane przez uczestników Komisji referaty (pp. Kobylińskiego, Rosenberga, Iwanauskasa i Gieysztora) zostały w odpisach lub streszczeniach rozdane obecnym, przeto na wniosek przewodniczącego, nie wygłaszano ich in extenso, a ograniczono się do dyskusji nad tezami, w nich zawartemi.

Najwięcej tematu do dyskusji dostarczył doskonały referat p. Kobylińskiego, oparty na wynikach 30-letniej pracy jego nad zachowaniem łosia w Prusach Wschodnich i podniesieniem zarówno ilości, jak i jakości tego królewskiego zwierza. Z uwagi na obfitość zebranego materjału obserwacyjnego i ciekawe wyniki, poświęcimy tej sprawie osobny artykuł, ograniczając się tu do podkreślenia, iż obok ochrony, główną uwagę zwrócono w Prusach Wschodnich na poprawę fizyczną łosia przez odstrzał systematyczny byków słabych i badylarzy, osiągając dzięki temu wyniki istotnie doskonałe.

Porównanie przepisów ustawodawczych o ochronie i odstrzale łosi stwierdziło nadzwyczajną ich rozbieżność. Zgrubsza dają się one podzielić na 2 grupy. Pierwsza, do której należą: Prusy Wschodnie, Finlandja, Estonja, Łotwa, Litwa i Polska, wprowadziła całkowitą ochronę łosia i przewiduje prawo odstrzału byków wyłącznie na podstawie osobnego zezwolenia władz centralnych. Stan ilościowy łosi w tej grupie przedstawia się w sposób następujący:

w	Prusach Wschodnich około	1.000	łosi
„	Finlandji „	100	„
„	Estonji „	150	„
„	Łotwie „	90	„
„	Litwie „	130	„
„	Polsce „	430	„
	razem około	1.900	łosi

Do grupy drugiej należą Szwecja i Norwegja, w których ochrona łosia obowiązuje w ciągu całego roku z wyjątkiem 5 do 10 dni we wrześniu lub październiku, kiedy każdemu posiadaczowi karty myśliwskiej przysługuje prawo odstrzału dowolnej ilości łosi — tak byków, jak klemp — i to nietylko na własnym terenie, ale — w pościgu — także na obcym gruncie. Powodem tak nieograniczonego ilościowo odstrzału jest rozdrobnienie własności ziemskiej i rzekome szkody, czynione przez łosie nietylko w drzewostanie leśnym, ale i w plonach rolnych.

To też, pomimo ogromnych jeszcze ilości łosi na półwyspie Skandynawskim, stan ich zmniejsza się szybko. Według oświadczeń miarodajnych czynników, ilość zabijanych rocznie łosi w Szwecji sięga $^1/_3$ całego ich stanu, a że w ostatnich paru latach odstrzał łosi stanowił 4.000 — 4.200 sztuk, przeto ilość ogólną łosi w Szwecji możnaby określić na 12.000 sztuk.

W Norwegji odstrzał roczny sięga 1.200 sztuk, co stanowi jakoby $^1/_4$ — $^1/_5$ całego stanu. Dawałoby to 5 do 6 tysięcy sztuk łosi w Norwegji.

Wszelkie próby, czynione przez miejscowe stowarzyszenia łowieckie w kierunku poważniejszej zmiany obowiązujących przepisów w Szwecji i Norwegji, nie dały dotąd wyników pozytywnych.

Co się tyczy hodowli łosia i zabiegów o podniesienie jego cech fizycznych, to z wyjątkiem Prus Wschodnich nigdzie prób podobnych nie czyniono.

Z uwagi na powyższy stan rzeczy, Komisja przyszła do wniosku, że powzięcie już teraz jakichś uchwał wiążących byłoby przedwczesne i postanowiła okres najbliższy poświęcić jeszcze dalszemu zbadaniu sprawy, uchwalając zalecenia następujące:

„Stała Komisja specjalna do spraw łosia przy Międzynarodowej Radzie Łowiectwa, po wysłuchaniu i przedyskutowaniu wniosków i referatów przedstawicieli 8 państw europejskich, zainteresowanych w utrzymaniu łosia, podkreśla nieodzowność zajęcia się bez zwłoki sprawą zachowania i rozmnożenia łosi, jako zwierzyny zanikającej, a nie grożącej w niczem podstawowemu zajęciu ludności tych krajów, rolnictwu.

Komisja wyraża życzenie, aby jej członkowie, w porozumieniu ze stowarzyszeniami łowieckiemi swych krajów, zbadali poruszoną sprawę i przedstawili następnej sesji Komisji wnioski, których realizacja jest niezbędna dla osiągnięcia zamierzonego celu w każdym kraju.

Komisja uważa za konieczne zwrócenie uwagi rządów oraz stowarzyszeń łowieckich w krajach zainteresowanych na celowość prowadzenia propagandy na rzecz ochrony i hodowli łosia w drodze akcji prasowej, organizacji wystaw specjalnych, rozpowszechniania plakatów i afiszów propagandowych i t. d."

J. G.

REGULAMIN SEKCJI OCHRONY I HODOWLI ŁOSIA

ZATWIERDZONY PRZEZ WYDZIAŁ WYKONAWCZY POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH DNIA 13 MAJA R. B.

1. Przy Polskim Związku Stowarzyszeń Łowieckich powstaje Sekcja ochrony i hodowli łosia.
2. Sekcja ma zadania następujące:

   a) badanie warunków przebywania i rozmnoży łosia w Polsce, na obszarach zarówno lasów państwowych, jak i prywatnych;
   b) przedsiębranie wobec władz państwowych oraz właścicieli łowisk prywatnych - kroków, zmierzających do zapewnienia łosiowi należytej ochrony i opieki;
   c) opracowanie metod racjonalnej hodowli łosia drogą odstrzału byków słabych i badylarzy, jak również przez odświeżanie krwi;
   d) gromadzenie środków, umożliwiających wydawanie nagród za walkę z kłusownictwem, względnie zapomóg na wzmożenie ochrony łosia;
   e) szerzenie zasad ochrony i hodowli łosia w druku i informowanie społeczeństwa o stanie tej sprawy w kraju i zagranicą;
   f) nawiązanie stosunków z odpowiedniemi organizacjami zagranicznemi w celu współpracy w międzynarodowej akcji ochrony łosia.
3. Członkiem Sekcji zostać może każdy obywatel Rzeczypospolitej Polskiej, korzystający z pełni praw i zgłaszający swój akces z zobowiązaniem się do uiszczania składki w kwocie zł. 10.— rocznie.
4. Kierownictwo działalnością Sekcji spoczywa w rękach Zarządu, składającego się z członków Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i obieranego przez Walne Zgromadzenie członków Sekcji na przeciąg lat 3.
5. Zarząd Sekcji składa się z 5 członków, którzy obierają z pomiędzy siebie przewodniczącego i sekretarza, pełniącego również obowiązki skarbnika.
6. Zarząd Sekcji zbiera się na wezwanie przewodniczącego, stosownie do potrzeby. Uchwały Zarządu ważne są przy obecności przynajmniej 3 członków. Przy rozbieżności zdań — decyduje większość gołsów, przy równej ilości głosów — przewagę daje głos przewodniczącego.
7. Walne Zgromadzenie członków Sekcji odbywa się w miarę potrzeby, najmniej raz do roku. Walne Zgromadzenie zwołuje Zarząd Sekcji. Na Zgromadzeniu Zarząd składa sprawozdanie z działalności Sekcji za rok ubiegły i informuje o zamierzeniach na przyszłość. Walne Zgromadzenie decyduje we wszystkich poruszanych sprawach zwykłą większością głosów; Walne Zgromadzenie wybiera z pośród siebie Komisję Rewizyjną w składzie 3 członków. Walne Zgromadzenie jest prawomocne przy udziale 1/4 ogólnej liczby członków. W braku quorum Zarząd zwołuje powtórne Zgromadzenie, ważne bez względu na liczbę obecnych.
8. W wystąpieniach do władz państwowych centralnych i administracji ogólnej — Sekcja działa przez Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. Pozostałą korespondencję załatwia bezpośrednio w swojem imieniu.
9. O likwidacji Sekcji decyduje Walne Zgromadzenie większością 2/3 głosów obecnych, bądź też Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, który przejmuje akta i majątek Sekcji.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU OBORNICKIEGO.

Towarzystwo Łowieckie Powiatu Obornickiego, urządziło w dniach 16 i 17-go kwietnia r. b. pokaz trofeów myśliwskich, zdobytych przez członków w latach 1930 i 1931.

Otwarcie pokazu przez prezesa Towarzystwa, p. inż. Martyńca nastąpiło w dniu 16-go kwietnia w obecności przedstawicieli władz i gości.

Jeśli się uwzględni szczupłe grono członków Towarzystwa, istniejącego dopiero od dwóch lat i jeszcze szczuplejszą liczbę wytawców, trzeba orzec bezstronnie, że pokaz wypadł zadowalająco, gdyż znalazło się na nim kilkadziesiąt eksponatów w trofeach: parostki rogaczy, wieńce jeleni oraz kilkanaście sztuk dobrze spreparowanych ptaków drapieżnych i ptactwa wodnego. Kilka obrazów i fotografij nadało całości efektowny wygląd.

Oceny poroży dokonało jury na zasadach używanego obecnie powszechnie systemu Biegera, Lotzego i Wilda.

Z pośród wieńców jeleni zajął pierwsze miejsce nieparzysty 14-tak (156 punktów), drugie — nieparzysty 12-tak (152 punkty) i trzecie — 10-tak z koroną (144 punkty), wszystkie trzy strzelone przez p. nadl. Martyńca na terenie państwowego nadleśnictwa Oborniki.

Ogółem wystawiono 8 sztuk wieńców jeleni.

Pokaz parostków rogaczy przedstawiał się ilościowo bogaciej, brakowało w nim atoli najwyższej klasy, poza eksponatem p. nadl. Nowaka z Kątów, który przy 86-ciu punktach uzyskał pierwszą nagrodę. Dobre parostki rogaczy, strzelonych na terenach, dzierżawionych przez Kółko Myśliwskie w Rogoźnie, wystawili: p. prof. Kozioł (65.5 i 62.8 punktów) i p. wójt Kycler (62.7 i 60.0 punktów); pozatem wymienić na-

leży parostki rogaczy wystawców p. Appolta z Obornik (65.2 punktów), p. Martyńca (62.4 punktów), p. Bydłowskiego z Poznania (61.5 punktów) oraz poza konkursem p. Hermanna z Obornik (64.3 punktów) i p. Stefanowicza z Obornik (62.5 punktów). Również poza konkursem odznaczony został ciekawy okaz rogacza-perukarza, strzelonego w nadleśnictwie Sieraków przez p. leśn. Flisa.

Wszystkich parostków na pokazie było 38 sztuk, wśród których oprócz odznaczonych, znajdowały się przeważnie okazy źle uformowane i cofnięte już w rozwoju poroży oraz myłkusy. Żałować należy, że dokonane zdjęcia fotograficzne eksponatów nie udały się z powodu zleżałych klisz, gdyż stanowiłyby one piękny przyczynek do niniejszego sprawozdania.

Towarzystwo Łowieckie przyznało wyróżnionym eksponatom wystawców nagrody w postaci złotych, srebrnych i bronzowych medali, a to w szczególności:

1) p. Martyńcowi: medale złote za wieniec nieparzystego 14-taka i za kolekcję wieńców; medale srebrne za wieniec nieparzystego 12-taka i za kolekcję sarnich parostków, wreszcie medale bronzowe za wieniec 10-taka i za parostki rogacza. Zaznaczyć tu należy, że za wspomniane wieńce 12-taka i 10-taka, uzyskał p. Martyniec identyczne odznaczenia od Wielkopolskiego Związku Myśliwych na pokazie trofeów, urządzonym w Poznaniu w dniach 16—22 marca.

Za parostki rogaczy przyznano:

2) p. Nowakowi medal złoty;

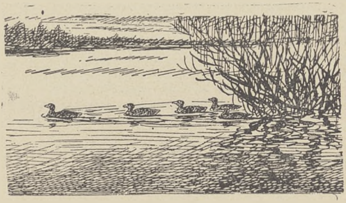
3) pp. Kozłowi, Appoltowi i Hermannowi po jednym medalu srebrnym;

4) pp. Kozłowi, Stefanowiczowi, Bydłowskiemu i Flisowi po jednym medalu bronzowym i p. Kyclerowi dwa medale bronzowe;

5) p. Rauhutowi medal bronzowy za rzadki okaz tracza *(Mergus merganser)*, strzelonego w obwodzie łowieckim Kiszewko.

Powyższy nieliczny, lecz — jak na początek — dostateczny pokaz trofeów łowieckich dał możność sprawdzenia każdemu myśliwemu rezultatów racjonalnej hodowli i racjonalnego odstrzału zwierzyny, w czem przodują na terenie powiatu obornickiego państwowe nadleśnictwa oraz Kółko Myśliwskie w Rogoźnie. Należy zatem życzyć Towarzystwu, by tego rodzaju imprezy udawały się każdego roku i by zarazem były bodźcem i zachętą dla pp. myśliwych w ubieganiu się na pokazach o zaszczytne miejsca, które można zdobyć nie przypadkiem, ale jedynie racjonalną i prawidłową gospodarką na terenach łowieckich.

INŻ. LEON MARTYNIEC,
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Obornik!.



KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

Pod tym tytułem zamieszczać będziemy na specjalne życzenie czytelników krótkie informacje, na jaką zwierzynę prawo łowieckie w danym miesiącu pozwala polować.

W czerwcu polować wolno na sarny-kozły, oraz na zwierzęta, wymienione w art. 50 prawa łowieckiego, na które polować wolno przez cały rok, a mianowicie na: wilki, dziki, wydry, kuny domowe (kamionki), tchórze, gronostaje, łasice, króliki, jastrzębie-gołębiarze, krogulce, sroki i wrony.

KOMITET REDAKCYJNY: J. Bleszyński, K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, Wł. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Karnocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. br. Krasiński, St. Krzywoszewski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrung, Wł. Zabiełło i St. Zaborowski.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.
W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

OGŁOSZENIA DROBNE

Albino - fretki, wyżły sprzedaję tanio. (Odp. znaczek). — Leśnictwo Dłoń. Wielkopolska.

Jeleni kapitalnych odstrzał do oddania. — Zgłoszenia przyjmuje Zarząd Dóbr Stanisława hr. Potockiego, Komańcza, pow. Sanok.

Leśnik, kawaler, lat 27, poszukuje posady leśniczego lub pomocnika, wymagania skromne. Posiadam praktykę w lasach państwowych, wzorowych lasach prywatnych, ukończony kurs Państwowej Szkoły dla Leśniczych, dobre świadectwa i polecenia. Prócz leśnictwa zapoznałem się z rybołówstwem i tartacznictwem, a praca nad hodowlą zwierzyny została wyróżniona. Łaskawe zgłoszenia proszę kierować do Redakcji „Łowca Polskiego” pod „Grab.”

Piękny teren łowiecki obszaru przeszło 1500 mórg położony przy samej stacji kol. Łochów, graniczący z trzech stron z lasami Zamojszczyzny. Zaregestrowany, obfitujący w zające i kuropatwy, w bażanty i cietrzewie oraz przechodnie dziki i kozły, jest do odstąpienia na okres 6-letni. Zapytania proszę kierować do p. Stanisława Borzyma na stacji w Łochowie.

Roczniki „Łowca Polskiego” oprawne w karton do sprzedania 1927, 28, 29 i 30 r. Wiadomość w administracji „Łowca Polskiego”, Warszawa, ul. Nowy Świat 35.

Wyżły rasy niemieckiej oraz ich 3-letnia matka dobrze ułożona, dubeltówka 16 wszystkie przybory myśliwskie do sprze ania. Wyjazd z kraju. Spokojna 3- -3.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.